

NINA ANDRYCZ - wspomnienia (2)

665

Jako Izabela Łęcka
na scenie
Teatru Polskiego

Emma, Judyta, Anna Karenina

Po spektaklu „Damy Kamellowej” w Teatrze TV zaczęły napływać liczne listy od widzów, świeżo pozyskanej publiczności, ustawicznie podkreślającej moją bezpośredniość, kobiecość czy nawet urodę, o czym się prawie nie mówiło podczas grania klasycznego repertuaru w Teatrze Polskim. Zaczęłam zdawać sobie sprawę z dotychczas nie znanej mi specyfiki pracy przed kamerami TV, uczyć się oceniać jej walory, no i ogromny zasięg oddziaływania, nieosiągalny dla teatru. Ponadto można się było nareszcie uczyć czegoś absolutnie nowego w zawodzie aktorskim: pewnej intymności w sposobie bycia, dyskrecji, delikatności w prowadzeniu dialogów. Można było krzyczeć szeptem, protestować opuszczeniem powiek, a mimo to dotrzeć do najszerzej, w dziejach naszej kultury teatralnej, a bynajmniej nie zblazowanej publiczności. Uczyłam się więc nowego, bardziej powściągliwego stylu bycia i grania, nie tylko z pożytkiem, ale i z przyjemnością.

ze Stanisławem Zaczkiem w telewizyjnej adaptacji „Anny Kareniny”



W następnym sezonie, to jest w roku 1959, w lutym, zagrałam w adaptacji słynnej powieści Gustawa Flauberta „Madame Bovary”. Telewizyjny scenariusz przygotował Jan Wilczek. I tym razem był to długi, dwugodzinny spektakl teatru poniedziałkowego, którym Jerzy Gruza debiutował jako reżyser. Scenografia i jedenaście sukien pani Bovary (wiadomo, jak ona trwonila pieniądze na toalety!) były imponującym dziełem Xymeny Zaniewskiej. Mojego zdradzonego męża grał Tadeusz Bartosik, dwóch kochanków – Andrzej Łapicki i Ignacy Gogolewski, kupca-lichwiarza Józef Kondrat, aktor, którego lubił i

obsadzał sam Leon Schiller. Już podczas prób poczułam, że i mnie się udziela telewizyjna gorączka poszukiwań, granicząca chwilami z tak zwanym „telewizyjnym obłędem”. XI Muza szybko wchodziła w modę, wywołując ożywioną dyskusję i nasza prasa poświęciła, zwłaszcza udanym jej wywiady na przykład dla „Sztandaru Młodych” pan Jerzy Solecki na pierwszej stronie pytał mnie, czy nie obawiam się trudności, wręcz niebezpieczeństw związanych z adaptacją Flaubertowskiej prozy przenoszonej w wąskie ramy szklanego ekranu. „O-

czywiście – odpowiedziałam. Jestem świadoma tego, że wielkie wartości epickie powieści, opisy, pejzaże, reakcje otoczenia muszą się zatrzeć w takiej adaptacji, natomiast pointy uczuciowe?...” W skrytości ducha liczyłam na nie. Po premierze „Tygodnik Demokratyczny” z dnia 17 III 1959 r. pisał: „W »Pani Bovary« stałyśmy się świadkami narodzin nowego oblicza artystycznego Niny Andrycz. Ta wielka artystka teatru, kobieta o żywiołowym temperamencie scenicznym i dużej skali głosowej, okazała się szczególnie ciekawym zjawiskiem artystycznym w naszej telewizji. W roli Emmy Bovary Nina Andrycz

zademonstrowała przede wszystkim ujmującą prostotę i oszczędność w wyborze swoich bogatych środków aktorskich (...) doskonale unerwiona twarz artystki świetnie rejestruje wszystkie stadia kolejnych rozczarowań Emmy. Niezawodny instynkt rasowej tragiczki wiedzie Ninę Andrycz we właściwym kierunku, bo pokazuje nam ona rozpaczliwą walkę człowieka z losem”. Recenzent, pan Andrzej Tylczyński, nie ukrywa jednak, że najślabszą stroną tego przedstawienia była strona techniczna... Oświetlenie aktorów, czarne cienie lub białe plamy na ich twarzach, zbyt nerwowe operowanie kamerami. Toteż „Pani Bovary” w sumie nie

wzbudziła takiego zainteresowania, na jakie mogliśmy liczyć. Natomiast, jeśli chodzi o powodzenie u publiczności, spopularyzowanie „bovaryzmu”, a przy tym mojej osoby, mojej twarzy udało się to niewątpliwie. Podczas ostatniej próby kamerowej zdarzył się następujący incydent. Czas nie pozwalał mi na schodzenie do garderoby, aby tam zmienić owe jedenaście toalet – tedy przebieierałam się w kącie studia, za kawałkiem płachty. Na kamerówce płachta spadła. „Niech się pan odwróci – krzyknęła garderobiana do stojącego obok strażaka – pani Anrycz jest naga!” „Nie odwrócę się - rzekł - jestem tu służbowo”.

W następnym, to jest w 1960 roku, wystąpiłam już jako aktorka wtajemniczona w arkana specyfiki telewizyjnej: jej kameralność, dyskrecję, a czasem potrzebę improwizowania. Zagrałam Judytę w sztuce współczesnego francuskiego dramaturga Charlesa de Peyret-Chappuisa, pod tym samym tytułem. Reżyserował Stanisław Wohl, scenografię dała Xymena Zaniewska. Mojego partnera, współczesnego Holofemesa, grał nieodżałowany Stanisław Jasiukiewicz. Oto co napisał krytyk Andrzej Władysław Kral, cytuję w du-

bicji, żeby pokazać narodziny teatru TV. Ale ponieważ brałam w nich jednak czynny udział – usiłuję tylko zatrzymać czułe spojrzenie na tym pierwszym, dziś już legendarnym, okresie polskiej telewizji, kiedy wszyscy tworzyliśmy i graliśmy „na żywo”. Jakże cudownie ożywcza panowała wówczas atmosfera, pomimo wszelkich trudów, niewygód i ryzyka. W moim odczuciu, a zresztą nie tylko w moim, był to okres piękny i na pewno godny przypomnienia. Zaowocował wkrótce i na szerszym terenie, przynosząc nam kilka

nagród, otrzymanych na światowych festiwalach. Telerecording jeszcze nie istniał. Jeśli dziś wspominam Małgorzatę, Emmę, Judytę czy Annę Kareninę, oglądając piękne fotosy, które mi na szczęście zostały z tych ról, to wydaje mi się, że chociaż częściowo ocalał je od zapomnienia. W maju roku 1961 niespodzianką teatr TV wystąpił z adaptacją „Anny Kareniny” według Lwa Tołstoja. Uczuciowo byłam dobrze przygotowana do roli. Oglądałam Annę i w Moskwie, i w Paryżu, na scenach i na ekranie. Nie był więc dla mnie zbyt bolesną niespodzianką fakt, że olbrzymie arcydzieło Tołstoja, nawet w bardzo starannych adaptacjach, przypomina raczej bryk i nieuchronnie spada do rangi melodramatu. A jednak cały świat, od Moskwy po Hollywood, zawsze gra choćby i okrojone dzieje Anny. Nasza telewizyjna inscenizacja Kareniny, niestety, była także tylko fragmentarycznym zapisem „historii trójkąta”, ale za to nas, aktorów, stanowiących ów trójkąt, to jest Władysława

Krasnowieckiego (Karenin), Stanisława Zaczyka (Wroński) i mnie (Anna), mimo braków adaptacji i wszelkich niemożności małego ekranu – chwaliło szczerze i gorąco. Pismo „Ekran”, dla którego pisałem, uznało że: „Anna jest jedną z najlepszych i najpełniejszych postaci kobiecych przedstawionych w naszej TV”. Oprócz żarliwości, z jaką interpretowałam tę rolę, prasa podkreślała jeszcze odpowiednie noszenie stylowych kostumów, posługiwanie się wachlarzem itd. Niektórzy krytycy uważali, że wydobylam ze scenariusza telewizyjnego nawet to, co z niego usunięto. A Ryszarda Hanin, która grała Dolly, tak określiła moją pracę na próbach: „Rola Anny wychodzi z pani organicznie, jak krew z nosa”. Na tym stwierdzeniu przyszłego pedagoga szkoły dramatycznej chciałbym zamknąć pobieżny opis moich ról w pierwszym, czyli heroicznym okresie istnienia naszej telewizji. (cdn.)

Fot. Franciszek Myzkowski i Tadeusz Kubiak

w spektaklu telewizyjnym „Dziki palmy” wg Faulknera



z Andrzejem Lapickim w „Madame Bovary”

żym skrócie: „Judytę warto było zagrać w telewizji dla aktorki, dla popisu aktorskiego Niny Andrycz. (...) Zobaczyliśmy Judytę pełną, nasyoną, subtelnie, a jednak wyraźnie punktującą dramatyczny przebieg rozgrywki z Holofemesem, a do tego Judytę głęboko interesującą swoją urodą, fascynującą zewnętrznym kształtem postaci (...) Wydaje mi się, że tego rodzaju współczesne role wyjątkowo dobrze odpowiadają indywidualności artystycznej tej świetnej aktorki”. Z tej dwuosobowej inscenizacji TV miałam niezwykle dobrą prasę. Nawet pan Wojciech Natanson gorąco odzwięknął w „Stolicy” (17 VII 60 r.). Nawet Kraków, tak dumny ze swoich aktorów, tym razem orzekł: „Jest to pokaz twórczej interpretacji tekstu i mistrzowskiego aktorstwa. Nina Andrycz jest patrycją i panią, która ujarzmi barbarzyńcę nie krzykiem, ale małymi pogardliwymi uśmiechami, jakimś przymrużeniem ośniewających oczu, któremu niepodobna się oprzeć”. („Zdarzenia” 18 VI 60 r.). Jeśli cytuję teraz dla czytelników „Ekranu” te świetne zaiste recenzje, to nie po to, aby się nimi pochwalić. Moje zapiski nie mają żadnych am-

z Tadeuszem Bartosikiem w „Madame Bovary”

